

Zycie jako nadzieja

Moje Lata - Wieki w Shoah

*Halina Birenbaum**

Spotkałam swą wolność z pustką w sercu po tragediach przeżytych w latach Holocaustu. Ogrom sieroctwa, ruiny, zgłiszcząca w powojennej Warszawie – nic wokół mnie i jakby nic we mnie. W rekach miałam już cały bochen chleba, mogłam go kroić, ile tylko dusza zapagnie. Ale było mi ciasno w czterech ścianach domu i w sobie. Nie chciałam być, jak moja mama przed wojną, tylko troszczyć się o dom, gotować, sprzątać – byłam już o tyle starsza od niej przy swych piętnastu latach! Szmat drogi przebyłam od dzieciństwa po starość, po śmierć w ciągu tych lat wojny i okupacji. Tyle razy patrzyłam śmierci w oczy, zamierałam w strachu, napięciu chwil przedostatnich; takie masy ludzkie paliły się na moich oczach. Jak po tym wszystkim wejść w zwykłą codzienność na wolności w uwiecznieniu tamtych obrazów i głosów?

Marzyłam, że jeśli przeżyje to piekło, zamieszkać na bezludnej wyspie... Jeżeli przeżyje – co w moim przypadku było najmniej prawdopodobne wobec praw hitlerowskich skazujących cały naród żydowski na zagładę, a w pierwszym rzędzie starców, chorych i dzieci... Byłam nielegalna nawet w obozach, tam dopuszczali tylko młodych, zdrowych, a i to zależało, ilu chcieli zostawić do katorżniczej pracy. Resztę odsyłali do gazu. Moje życie i ocalenie okazało się ciągiem przypadków... Do dzisiaj.

Mój ojciec nazywał się Jakub Grynsztejn. W Auschwitz byłam zarejestrowana i uwięziona jako Hala Grynsztejn. Ojciec mojego, najstarszego brata Marka, Abram Balin, zmarł kiedy Marek miał kilka miesięcy. Moja matka wyszła potem ponownie za mąż. Po wojnie zostaliśmy tylko my dwoje, ja i Marek. Marek zapisał mnie wtedy w Warszawie jako siostrę na swoje nazwisko, tak też wyrobił mi metrykę urodzenia, bo przecież wszystkie nasze dokumenty spaliły się. Odtąd we wszystkich dokumentach figuruje na panienskie nazwisko Balin. Teraz pragnę, by chociaż w tym wspomnieniu pozostał ślad po moim Ojcu Jakubie Grynsztejnie.



Halina Grynsztejn Birenbaum, pisarka i poetka

We wrześniu 1939 roku skończyłam 10 lat i przeszłam do III klasy szkoły podstawowej. Miałam kochających rodziców, dwóch starszych braci, dziadków ze strony matki i ojca, licznych krewnych. Byliśmy niezamozną rodziną. Marek, starszy ode mnie o jedenastcie lat brat, studiował medycynę, był wyjątkowo zdolnym i pracowitym uczniem; starszy ode mnie o siedem lat Chilek, uczył się w szkole rzemieślniczej. Ojciec był pośrednikiem handlowym, matka prowadziła dom i pomagała zarabiać na życie szydełkowaniem. Tego lata, na wieść o zbliżającej się wojnie rodzice matki i jej

siostry z rodzinami przyjechali do Warszawy. Myśleli, że w stolicy będzie łatwiej przetrwać niż w Zelechowie. Rodzina ze strony ojca została w Białej Podlaskiej.



Matka, Pola Perl Grynstejn, z domu Kijewska, Zelechów

1 września zagrzmiała syrena alarmowa – i już więcej nie poszłam do szkoły. Niebo nad Warszawą zakryły eskadry niemieckich Messerschmittów, posypały się bomby burzące i zapalające, wybuchły pożary, których nie było czym gasić. Domy waliły się, grzebiąc pod sobą tysiące ludzi. To piekło nie ustawało przez trzy tygodnie. Nie było co jeść, nie było wody. Z palących się sklepów wywlekano konserwowane kiszone ogórki, marmolady, noszono wodę z Wisły – ludzie padali po drodze od odłamków i szrapneli. Huk bomb dniami i nocami, luty pożarów, zapach rozkładających się pod gruzami trupów i spalenizny, wycie syren alarmowych, a w głośnikach zapowiedzi: "Uwaga, nadchodzi, przeszedł, nadchodzi, nadchodzi"!....

W największe święto żydowskie Sadny Dzień – Jom Kipur, Niemcy bombardowali najbardziej dzielnicę zamieszkałą przez Żydów. Nasza ulica stanęła w ogniu. Była to noc po wielkim poscie i żarliwych modlitwach. Wybiegaliśmy z palącego się domu, chwytając do rąk, co dało się unieść. Schroniliśmy się w piwnicy domu znajomych. Panował tu tłok, zapach pleśni, wydechów ludzkich i nie dające się opisać przygnębienie. Niektórzy z przerażenia tracili przytomność umysłu, belkotali jakieś niezrozumiałe słowa. Przypatrywałam się dorosłym, czytałam z ich twarzy, z każdego ich poruszenia i szybko dojrzywałam do niepojętych sytuacji walącego się wokół nas świata.

Aż wreszcie nastąpiła cisza. Cisza klęski, zniszczenia i żaloby. Na ulicach ludzie z tobołkami na plecach. My również w tej fali szukających dachu nad głową. Po raz pierwszy zobaczyłam Niemców. Maszerowali butnie zburzonymi ulicami Warszawy, jak zamykająca się na wieki, niezwykła ściana śmierci. Ludzie tłoczyli się po chleb, żołdacy niemieccy wyciągali Żydów z kolejek i maltretowali ich.

Znaleźliśmy pokój w mieszkaniu dentystki sparalizowanej po szoku bombardowania, jej mąż, także lekarz dentysta, zmarł przed wojną. Ona, jej dwie córki i syn – technik dentystyczny, zajmowali teraz jeden pokój, a pozostałe cztery i kuchnię odnajmowali. Najmłodsza Elusia, o dwa lata starsza ode mnie oraz o rok ode mnie młodsza Erna, która mieszkała z rodzicami w sąsiednim pokoju, stały się moimi przyjaciółkami. Mieszkaliśmy razem do wysiedlenia.

Niemcy nakazali Żydom od dwunastego roku życia nosić białe opaski z niebieską Gwiazdą Dawida na prawym podramieniu, by ich wyodrębnić od innych ludzi. Robili łapanki na Żydów, rozstrzeliwali pod byle pretekstem, albo bez pretekstów. Żydom zabroniono jeździć pociągami, tramwajami, uczyć się, modlić się w bóżnicach, zbierać się w większych grupach. Ogłosili dla

Zydów godzinie policyjna od siódmej wieczorem oraz bezwzględny zakaz przebywania poza domem. Za dnia tłumy zalegały ulice. Ludzie sprzedawali z siebie odzież, posciel, bieliznę, by móc kupić co dzień droższy i gorszy chleb, zmarzniete kartofle, kasze, mokre drewno. Było jakos przetrwać następny dzień w nadziei, że wojna wkrótce skończy się klęską Niemców i wszystko wróci do normalnego trybu.

Groza narastała jednak z każdym dniem. Choroby, głód. Raz po raz wdzierał się z ulicy przeraźliwy okrzyk: Niemcy! – i triumfalne ciężarówki wjeżdżały w zatłoczone ulice. Esesmani zeskakiwali z nich, strzelali do uciekających, skinieniem ręki i okrzykiem "Halt!" zatrzymywali mężczyzn, których bijąc ładowali na ciężarówki. Wchodzili do domów żydowskich wyciągać meble i cenniejsze przedmioty z mieszkań, towary ze sklepów, wyprowadzali właścicieli – ojców, synów – i rozstrzelali ich.



Warszawa, ul. Muranowska

Pogłoski o getcie dla Żydów sprawdziły się, jak wszystkie najgorsze, niewyobrażalne przepowiednie. Pod koniec jesieni 1940 roku wysoki mur odgradził nas od Aryjczyków. Niemcy rozkazali wszystkim Żydom opuścić w ciągu godziny swe mieszkania i skupić się na ciasnym obszarze w najniebezpieczniejszej dzielnicy Warszawy. Zapędzili tu pieszo także Żydów z innych miast i miasteczek, słabych zabijali po drodze, chorych w łóżkach. Setki tysięcy zostało bez dachu nad głową, nie miało już więcej nic! Gnieździli się w niemożliwej ciasnocie w byłych klasach szkolnych i innych publicznych budynkach, zwanych Punktami. Umierali tam masowo z głodu, brudu, epidemii. W Punktach nie było dość miejsca dla wszystkich wygnanców. Leżeli więc na ulicach, podwórkach, klatkach schodowych; zebrali, puchli z głodu, odmrożenia. Nie nadano uprzatać trupów, przykrywano je gazetami, aż przyjedzie wóz by zebrać zwłoki i wrzucić do wspólnego grobu.

Byłam w tym tłumie, rosłam w nim i uczyłam się życia pośród ogólnego zniszczenia. Bawiałam się razem z innymi dziećmi, popychając ludzi w tłoku na ulicy, obok tych nakrytych gazetami trupów... W późniejszym okresie komitet domowy zorganizował nas do zbiórki pieniędzy dla zebrańców i głodujących sąsiadów. Przypinaliśmy przechodniom papierowe kokarki, aby ofiarowali kilka groszy. Występowaliśmy czasem na wieczorkach w mieszkaniach zamożniejszych rodzin, deklamowaliśmy i śpiewaliśmy przedwojenne lub gettowe piosenki. Oczywiście, brały w tym udział dzieci i młodzież, ci którzy na razie nie głodowali i nie byli załamani.

W tym okresie nasza rodzina też jeszcze nie głodowała. Marek pracował w szpitalu żydowskim, gdzie trochę zarabiał przy zabiegach lekarskich. Polski właściciel fabryki przetworów Maggi, inż.

Stanisław Strójwas, dla którego ojciec pośredniczył w dostawie surowców z Galicji, przekazywał nam do getta fasolkę, brązowy cukier i konserwy zamiast pieniędzy, za które niewiele można było kupić, bo wszystko drożało z godziny na godzinę. Fabryka inż. Strójwasa znajdowała się na granicy getta, co do pewnego czasu umożliwiało taki kontakt. Otrzymywane produkty w większości sprzedawaliśmy, by kupić chleb, kartofle, lub drewno do ogrzania pokoju.

Ja nawet jeszcze uczyłam się w tych warunkach. Pod kierownictwem i surowym nakazem starszego brata przerobiłam w ciągu tych trzech lat materiał od trzeciej klasy szkoły podstawowej do pierwszej klasy gimnazjum. Marek uczył mnie także francuskiego. Może dla oderwania mnie od ciężkiej rzeczywistości – a może w nadziei, że doczekamy końca wojny i ja nie zostanę w tyle z moją edukacją. Zwłaszcza czytałam wiele, także wiersze, których bardzo szybko uczyłam się na pamięć. Znajdowałam w tym ucieczkę od panującej wokół grozy i coraz straszniejszych wieści o zwycięstwach Niemców na frontach, mordowaniu Żydów, budowaniu komór parowych czy gazowych do masowej zagłady w Chełmie, Belzcu – i w najokropniejszym miejscu ze wszystkich, Oświęcimiu!... Miałam jedenastce lat, kiedy zaczęłam pisać o tym, co działo się wokół nas, nie mogąc pomieścić w sobie tego ogromu okrucieństw, coraz gorszych wiadomości i beznadziejnych komentarzy dorosłych.

Dwa okna naszego pokoju obito dyktami, za oświetlenie służył płomień z rurki gazowej, a potem śmierdząca lampa karbidowa. Spaliliśmy na podłodze, rodzice i bracia na dwóch materacach, a ja, jako najmłodsza (mama zawsze uczyła mnie ustępować starszym, przeciwko czemu buntowałam się) na posłaniu z koldry. Kiedy zapędzili wszystkich Żydów do getta, dostaliśmy od znajomych tapczan, stół i cztery krzesła. Znowu musiałam ustąpić... nie było piątego krzesła. Zwolnił się jednak dla mnie materac, bo bracia spali już na tapczanie.

Na szczęście, nasza ulica została w getcie i nie musieliśmy, jak większość Żydów, szukać innego pomieszczenia. Niemcy kilkakrotnie zmniejszali getto i ludzie zostawali po prostu na ulicach, umierali masowo. Rodzina dentystki także przymierała głodem niemal od samego początku. Wkrótce nikt już nie płacił komornego, ani nie leczył sobie zębów...

Minęły dwa lata getta. Marzyłam, że któregoś ranka obudzę się i Niemców nie będzie już w Warszawie, znikną tak nagle z naszego życia, jak się do niego wdarli... Pod koniec lipca 1942 roku rozkleili na murach plakaty po polsku i po niemiecku, że wszyscy Żydzi będą przesiedleni do pracy na Wschód. W getcie pozostaną tylko nieliczni, potrzebni Niemcom do pracy w szopach, gdzie szyje się mundury i buty dla niemieckiego wojska oraz w fabrykach po aryjskiej stronie. Zatrudnieni Żydzi otrzymają Ausweise (dowody osobiste), które niebawem okazały się prawem do życia, i placono za nie wysokie łapówki.

Panika i rozpacz opanowały całe getto. Grozy dopełniła wieść o samobójstwie Adama Czerniakowa, prezesa gminy żydowskiej. Prezes, posłuszny zawsze Niemcom, nie chciał podpisać rozkazu wysiedlenia, co naprowadzało najgorsze domysły. Od razu też zniknęła wszelka żywność. Słowa: akcja, blokada, wysiedlenie, wagony, Umschlagplatz stały się odtąd naszą wyłączną rzeczywistością, jedyną treścią życia. O Treblince nie wiedzieliśmy jeszcze... Umschlag to duży, obwarowany plac na Stawkach przed szkołą, w której Chilek uczył się do wybuchu wojny. Czekają tu codziennie bydlece wagony, którymi Niemcy wywozili złapanych Żydów. Najpierw wywieźli wygnanców z Punktów, zebraków z ulic, chorych, kaleki, opuchłych z głodu lub odmrożeń

O nic nie pytałam, nie upominałam się, niczemu się nie dziwiłam – wszystko czuło się w powietrzu, czytało się w twarzach ludzkich, w oddechu śmierci i strachu przed nią. Nawet małe dzieci pojmowały, że trzeba milczeć, zakopać w gesty mrok swoje zabronione bycie, oddech, bicie serca – by nie zostać wykrytym i wywiezionym na ten zagadkowy, straszny „Wschód”... Wkładaliśmy na siebie co najlepsze z odzieży i obuwia, kilka zmian bielizny, sukienki, swetry – by na wypadek gdyby nas złapali i wywieźli do jakiegos straszliwego obozu, mieć tam w co się

przebrać lub wymienić te rzeczy na żywność. Mama wzięła do koszyczka trochę maki, kaszy, cukru w kostkach i butelkę oleju. Pozegnaliśmy się z sąsiadami. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to już na zawsze.

Mieszkanie cioci Feli, młodszej siostry matki, mieściło się na innej ulicy, na piątym piętrze. Myśleliśmy, że tak wysoko nie przyjdzie, by zawlec nas na Umschlag... Mama pragnęła też być w tym czasie razem ze swą najbardziej ukochaną siostrą. Wujka, wraz z grupą Żydów, Niemcy wyciągnęli z pociągu i rozstrzelali, mimo że posiadali przepustki. Ich syna, Kube, w wieku Chilka, wywieźli do pracy w Starachowicach, gdzie przepadł bez wieści. Było to jeszcze przed wysiedlaniem do Trebłinki... Została tylko ciocia z córką Halina, starsza ode mnie o dwa lata. Odtąd trzymaliśmy się razem.



Pola Perl z siostrą w Zelechowie

Łapanki zaczynały się około 8 rano i szalały do wieczora. Co dzień blokowali ulice getta i wlekli na Umschlag tysiączne kolumny Żydów. Wdzierali się do wszystkich domów i mieszkań, na każde piętro, docierali do wszelkich precyzyjnie zamaskowanych kryjówek, piwnic, strychów. Żelaznymi łomami wywalali drzwi, każdą zapórę. Bijąc i strzelając, gnali ludzi do kolumn formowanych na jezdni, skąd pod eskortą uzbrojonych esesmanów prowadzili ich do wagonów. Co dzień 15 – 17 tysięcy Żydów, ile tylko wagony mogły pomieścić!

Akcje wciąż natewały się i zagarniały coraz więcej ludzi. Ulice pustoszały, zostawały plamy krwi na chodnikach i jezdniach, opuszczone domy, mieszkania-duchy. Rozrzucone rzeczy, listy, fotografie, wszędzie pełno fruującego pierza z rozprutych w czasie przeszukiwania poduszek. Gwizd lokomotyw wdzierał mi się w serce, jak nóż: tam pójdziesz, to cie czeka, jakaś stacja okropna, koniec wszystkiego!...

Ojciec dostał się do pracy w szopie (warsztacie) dzięki krewnemu, bo nie mieliśmy pieniędzy, by zapłacić łapówkę. Otrzymał zaświadczenie mające być "kryciem" dla niego, jako „produktywnego” Żyda, a także dla jego żony i dziecka, czyli dla matki i dla mnie. Dyrektor był dawniej właścicielem tej fabryki butów. Okazało się jednak, że ta obiecująca i popłatna funkcja, nie uratowała go od śmierci w Treblince, ani jego żony i ich trojga dzieci. Nikt nie mógł ująć wszechmogącemu niemieckiemu wyrokowi zagłady.

Marek pozostał w szpitalu, który był nadal czynny, że to niby nie wszystkich wysiedla, że są też lepsi, wybrani, dozwoleni do życia... Miał więc Ausweis. Chilka wzięli do pracujących na Umschlagu, przypili mu blaszany numer, znak, że był produktywny i nie podlegał wywózce. Wynosił ciała zastrzelonych lub pobitych na śmierć przy napychaniu Żydów do wagonów.

Groza, która wycierała z jego oczu, gdy po raz pierwszy wrócił z tej pracy przeniosła mnie w dalsze pokolenia mojej dojrzałości. Zapomniałam o nekającym mnie nieustannie głodzie, o pragnieniu bodaj jeszcze jednej łyżki klusek na wodzie, które mama wieczorami gotowała przy niklej świeczce w jakimś opuszczonym przez wywiezionych mieszkaniu; o ściąganiu z jej koszyka dodatkowej kostki cukru, które w kryjówkach dzieliła co kilka godzin, jak lekarstwo. Do dziś nie wiem, skąd ta mała, słaba fizycznie kobieta czerpała odwagę i siłę by wtedy gotować te kluski?

Wyraz twarzy Chilka ukazał mi głębie rozpacz, w której nic z tego, co było dotąd, czego nas uczono i przekazywano nam od pokoleń, nie miało już więcej żadnego znaczenia, pozostało daleko za nami... Nagle urosłam w sobie, jakbym przeniknęła treść najważniejszych ksiąg świata, tych nie napisanych ludzką ręką. Zrozumiałam niepojęte i tajemnicze trwanie w nim, wszystko inne stało się błahie i marne aż do absurdu. Mój brat trzymał głowę w dłoniach i mamrotał: "nie pytajcie mnie o nic, co oni tam robią z ludźmi!"

Tuliłam się do matki w ciasnych, cuchnących kryjówkach, sciskałam mocno jej rękę i wstrzymywałam oddech w największym napięciu, gdy z bliska dochodził tupot esemanskich buciorów i mroziła krew w żyłach okrzyki: "Halt, Jude!". Jęk bólu, odgłos strzałów, tuż obok, jakby już we mnie. Spokój matki, jej opanowanie, promieniująca z niej wiara i uparta chęć życia były dla mnie drogowskazem i fundamentem, na którym potrafiłam dojrzewać i błyskawicznie rozwijać swoją wrażliwość, ostrych intuicji. Przeszłam z nimi moją długą, niemożliwą drogę, poprzez powszechną śmierć – do życia.

Mijały coraz trudniejsze tygodnie w piwnicach i na strychach, w ciągłym strachu, niepewności chwili, bez jedzenia, bez możliwości umycia się, zdjęcia z siebie ubrania, butów w ciągłej gotowości na najgorsze – wywózkę na wschód. Pognali już tam setki tysięcy Żydów, także wszystkich naszych bliskich. Narastało opuszczenie i bezradność.

Zapadał zmierzch, gdy zeszliśmy ze strychu, by zaczerpnąć trochę powietrza na dworze. O tak późnej porze nie robili łapanek. Ojciec akurat wrócił z szopu a Chilek po dniu na Umschlagu. Staliśmy razem wycieńczeni po długim, jak wieczność dniu. Nagle z czterech stron ulicy zajęchały riksze, z których zeskoczyli uzbrojeni Niemcy, Litwini, Lotysze.

Kryjówka na rozprazonym strychu jest już nieosiągalnym rajem z minionej epoki... Okrzyk "Halt!" natychmiast przenosi nas w nową rzeczywistość, jedynie aktualną. Już jesteśmy pierwszą czwórka

w kolumnie, powiększającej się o powracających z fabryk po aryjskiej stronie. To zasadzka na tych z placówek o najlepszych przepustkach.

Na jezdni rozsypują się szmuglowane do getta kartofle, cebula, cukier – po obu stronach kolumny oni – nasi władcy i kaci. Bicie, strzały za byle poruszenie. Posuwam się znowu o wiek w moim dojrzwaniu. Matka uspokaja nas mówiąc, że pojedziemy do pracy na role, jesteśmy młodzi i zdrowi, nic złego nam nie grozi. Muszę tylko wszedzie mówić, że mam 17 lat! Szczypie mnie w policzki, by wydobyć na nich rumieńce, dowód zdrowia, szybko upina mi koronę z warkoczy, bym wydawała się wyższa. W jakimś sensie imponuje mi to i zaciekawia.

Czuje się cząstka tej wielkiej kolumny ludzi, napiętego do szalu skoncentrowania myśli i nerwów. Matka nigdy przedtem nie poświęcała mi tak wielkiej uwagi. Teraz wpatruje się we mnie, jakby chciała przeniknąć mój los, obronić mnie przed nim. Wprowadzają nas na Umschlag. Tłumy Żydów złapanych w całodzienną akcję, przepychanie się, krzyki, tłok! Rozpaczliwe szukanie kryjówki, wody, zagubionych dzieci, bliskich, by choć razem odjechać tym pociągiem.

Nagle Niemcy wynoszą na środek placu karabin maszynowy i celują w tłum. Zapada głucha cisza. Chwila przedostatnia... Obejmujemy się mocno we czworo, patrzymy sobie w oczy głęboko, jak się patrzy przed odejściem na zawsze. Za chwilę nas nie będzie. Chilek może odejść, trzeba będzie wszak uprzatnąć trupy, ale zostaje z nami. Ojciec tuli nas do siebie kurczowo, matka odsuwa się nieco, patrzy na mnie w skupieniu i miłości: każdy człowiek musi kiedyś umrzeć, mówi – my teraz umrzemy razem, nie bój się, to nie będzie straszne... Jestem już poza wszelkim strachem, nawet śmierć wydaje mi się mała i nic nie znacząca wobec potęgi uczuć w tym ostatnim uścisku, w pełnym poczuciu naszego człowieczeństwa przewyższającego wszystko inne.

Gwizd wtaczającego się pociągu przecina powietrze. Karabin maszynowy jest już zbędny. Rzucają się na nas kolbami karabinów, pałkami, kijami, strzelają w ten obłakany tłum zaganiany do wagonów: zandarmi niemieccy, esesmani, policja polska i żydowska.

Rozdzierające krzyki, wyzwiska, płacz. Ojciec mówi, że przed wagonem pokaze swój Ausweis i zwolnia nas, Chilek ma numer pracownika Umschlagu więc nie jest zagrożony. Mama nie wierzy w żadne papiery, bierze mnie i Chilka za ręce i odciąga czym dalej od pociągu. Ojciec stara się przekonać mamę, ale idzie za nami, żebyśmy się nie pogubili. Najważniejsze teraz to być razem!

Jak spod ziemi wyrasta grupa policjantów żydowskich, okrazają ojca. Ich pałki spadają na niego ze wszystkich stron. Ojciec próbuje się osłonić rekoma, potem pochyla się, pałki na jego plecach, i znika w tej ludzkiej fali. Na zawsze. Nie mam nawet fotografii ojca, to jest ostatni jego obraz przed moimi oczami. Pozostał we mnie na całe życie.

Chilek zaczyna krzyczeć, błagać mamę: chodź do pociągu, co będzie z wszystkimi Żydami, niech będzie i z nami! Oni tu znają wszystkie kryjówki, zabija was a mnie rozkaza uprzatnąć wasze trupy, ja nie chcę dożyć takiej chwili! Ja również mam już dość ukrywania się i napięcia. Czuje jakąś siłę i oparcie w tej ludzkiej masie. Ale mama nie słucha: głupie dzieci, mówi spokojnie, ten pociąg to śmierć, tam zawsze zdadzimy... Wreszcie wszystko cichnie, zostajemy we troje w jakimś kacie placu. Tobolki na ziemi, rozrzucone rzeczy, pogubione buty. Przerazająca, cmentarna pustka. Chilek ukrył nas w kanale, gdzie o mało nie udusiliśmy się. Nie jeden raz wyciągał stamtąd trupy.

Na szczęście okazało się, że w wagonach nie było miejsca dla wszystkich i garstka złapanych Żydów ma zostać w budynku policyjnym. Mielismy przeczekać razem z nimi do rana, do przyścia następnego pociągu. Ale mamie udało się przekupić żydowskiego policjanta. Zgodził się, za słabną obrączkę, dwa kilogramy ryżu i garnitur ojca, które mieliśmy w kryjówce na strychu, wyprowadzić nas na "wolność". Tanio. Zwykła cena za wyprowadzenie z Umschlagu była 10.000 "od główki".

Dalsze tygodnie łapanek, kryjówek, meczarni, potem we wrzesniu wielka kilkudniowa selekcja w Rosz Haszana (Nowy Rok żydowski), zwana "kotłem na Milej" [1], podczas której Niemcy wywiezli dziesiątki tysięcy ludzi z getta – już teraz wszyscy wiedzieli, że wysiedlenie na Wschód, wagony, Umschlagplatz to oznacza po prostu śmierć w komorach gazowych w Treblince! Z pół miliona Żydów w getcie warszawskim, pozostało kilkadziesiąt tysięcy. My jeszcze wśród nich. Bez ojca.

Sieroctwo, zniszczenie, pustka. Wokół strzępy rodzin, życia. Mama pracowała w szopie, szła mundury dla wojska niemieckiego, a schowana pod jej maszyną, przyszywałam guziki, by mieć prawo do życia. Getto teraz mieściło się teraz zaledwie na kilku, odciętych od siebie ulicach i zostało zamienione w obóz pracy. Chilek i Marek pracowali na placówce po aryjskiej stronie, skąd sprowadzali żywność za rzeczy szmuglowane z pustych mieszkań po wywiezionych. Zakazano Żydom przebywać na dworze oprócz jednej godziny rano, kiedy pod eskortą szło się do pracy i jednej godziny na powrót wieczorem. Esesmani nieustannie grasowali po getcie, strzelali, robili zasadzki na strychach, bo tamteży po kryjomu przechodziło się na inne ulice.

Chilek ożenił się. Rodziców Heli (pochodzili z Bydgoszczy) zabrali w wrześniowej selekcji na Milej. My schowaliśmy się wtedy na strychu, bo mama zgubiła Ausweis. Na szczęście, bo kiedy przyszła kolej na jej szop, Niemcy przestali wybierać i wszystkich pognali do wagonów. Po selekcji jej Ausweis znalazł się wśród rozrzuconych w mieszkaniu rzeczy...

Rozeszły się pogłoski, że wiosną następnego roku [1943] Niemcy ostatecznie zlikwidują getto. Warszawa ma być *Judenrein* – czysta od Żydów! Zaczęła się gorączkowa, potajemna budowa bunkrów pod ziemią w nadziei, że po klęsce Niemców w Stalingradzie wojna już nie potrwa długo i będzie można w nich przetrwać. Bunkry te zaopatrywano w pryzce, żywność, wodę, wentylatory, łomy żelazne, by uciec z wagonu, gdzieś tam w bron i trucizny, byle tylko nie do Treblinki!

Organizowało się żydowskie powstanie. Pozostali w getcie pojedynczy członkowie rodzin nie mieli już nic do stracenia, już nikogo więcej nie narazał oporem. Przed Pesach przeszliśmy do tzw. małego getta, na Miła, gdzie mama postarała się o miejsce w bunkrze, musiała za nie zapłacić. Wartownicy niemieccy placówki, z którą postanowiliśmy wieczorem przejść na Miła, byli wyjątkowo brutalni i Marek zdecydował, że nie zabierzemy z sobą przygotowanej żywności. On to przyniesie nazajutrz...

Mama wzięła tylko swój koszyk z mąką, kostkami cukru i butelką oleju, co nie rzuciło się w oczy. Na Milej natknęliśmy się niespodziewanie na Erne i jej matkę. Żywe duchy z niedawnej, a tak dalekiej przeszłości, jak i my. Namawiały mnie, żebym została u nich na noc, tyle jednak mamy sobie do opowiedzenia! Ale Marek sprzeciwił się: nie wolno nam się oddalać od siebie, nie wiadomo, co przyniesie następna godzina... Marek wrócił do poprzedniego mieszkania po zostawioną tam żywność.

Pesach, 19 kwietnia 1943 roku, *Leil Haseder* – Noc Sederowa, matka obudziła nas gwałtownie: wstawac, Niemcy okrzyki getto, schodzimy do bunkra, szybko! Napiecie, pospiech, oszalamiający strach i nadzieja ratunku w mrokach podziemia, odcinających od zewnętrznego świata. Mdle, słabe światelko, duszność, gorąco. Zdenerwowanie, krzyki i klótnie na przepelnionych pryzkach i w wąskich przejściach. Zebrali się tu od razu więcej ludzi, niż było miejsca. Na pryzkach można było poruszać się tylko w pozycji leżącej.

Niemcy nie chodzili, jak przedtem, od domu do domu rozwalac drzwi i wyciągać Żydów, lecz po prostu podpalali dom za domem, ulice po ulicy. Ludzie palili się żywcem, dusili się od dymu; uciekających rozstrzeliwali na miejscu lub odprowadzali na Umschlag. Bunkry, których ogień nie sięgał, zalewali wodą. Bunkier Erny na Nalewkach został zatopiony. Ukrywało się w nim kilkadziesiąt osób. Mnie Marek nie pozwolił wczoraj (czy przed wiekiem?) zostać u przyjaciółki...

On był teraz też odcięty od nas. W kryjówce zamieniono dzień na noc, by łapacze i ich różni pomocnicy-zdrajcy nie usłyszeli nas i nie złapali. Noca nie chodzili szukać.

Mdleliśmy z głodu. Mama co kilka godzin dzieliła między nas kostkę cukru, łyżeczkę marmolady i trochę wody. Nie mogła się dopchać do pieca, by ugotować te kluski z maki – tam zawsze dostawali się najsilniejsi. Ludzie leżeli na narach lub krecili się nerwowo obok nich prawie nadży. Bunkier zapelniał się ponad granice pojemności, bo uciekający z pałaców się domów też docierali do nas. Dym wdierał się do środka, nie można już było nawet zapalki zapalić z braku tlenu. Ludzie padali z charczącym oddechem. Nad nami ogień, strzelanina, czołgi, armaty i auta pancerne przeciw garstce powstańców żydowskich, i nam, ukrytym w podziemiach... Silniejsi moczyli ręczniki i powiewali nimi, dając sobie złudę powietrza, orzeźwiającego chłodu... Zaczeli się dzielić nawet ostatnią kroplą lekarstwa. Na progu śmierci niewiele jest już potrzebne, jedynie iskierce życia tak wiele potrzeba, by się utrzymać, zanim zgasnie.

Leżałam na pryczy na wpeł omdlała, gdy mama szarpnęła mnie mocno za ramię: "Ubierz się szybko, 'nakryli' nas, wala już do wejścia!"

Czym mierzy się klęsce nadziei? Ile czasu potrzeba, by sobie ją uprzytomnić i zacząć dalszy wyścig ze śmiercią? Wrzucony do środka granat, wpuszczona drabina, postacie w zielonych mundurach i wysokich butach z cholewami przerzucają nas błyskawicznie w inną erę: "Alles heraus! Wychodźcie! Nic wam nie grozi, jedźcie do pracy, tylko posłusznie wykonywać rozkazy! Schneller!". Może to prawda?...

Po trzech tygodniach światło dzienne! Pomagają nam nawet wydostać się na zewnątrz po drabinie. Boją się, że ktoś ma broń i będzie strzelać, co się zdarzało w tym czasie. Dołączają nas do kolumny na jezdni – po raz ostatni. Początek maja. Ślady walk na ulicach, czołgi, auta pancerne, ani jednego całego domu w getcie, wysadzili w powietrze nawet szkielety wypalonych budynków, żeby nikt się w nich nie mógł ukryć. Po drugiej stronie muru ktoś gra na pianinie.



Halina z grupą młodzieży z kibucu „La Szichrur” (Do wolności) na ruinach bunkru Mordechaja Anielewicza, rocznica Powstania w Getcie, kwiecień 1946

Umschlagplatz. Po raz drugi. Mama, Chilek, Hela, Halina. Znow do budynku szkolno-policyjnego. Stłoczyli nas na podłodze w jednej z byłych klas. Czekanie na pociąg przez całą noc w pełnej świadomości, co oznacza "do pracy na Wschód". Nie zmniejsza to beznadziei, ale i ta bliska, nieukniona przyszłość jest daleka w obliczu koszmaru sprzed pociągu. Nie wolno nam poruszyć się pod groźbą rozstrzelania. Raz po raz zjawia się jakiś Niemiec i na kogo pada jego wybór, ma mu dać pieniądze, złoto, biżuterię! Jeden wszedł z pustymi butelkami w rękach.

Wtulilam głowę w kolana matki, zatkalam palcami uszy, mama pochylila sie nade mna, by mnie oslonic. Trwalo to chyba wiecznosc, albo zamarlam nie widzac ani nie slyszac niczego. Nagle poczulam, ze ciało matki drzy nade mna hamowanym spazmem. Mama nie zalamywala sie nigdy, nie plakala. Odetkalam uszy. Grobowa cisza, przerywana uderzeniami pejcza. Unioslam głowe. Mój brat! Twarz Chilka, zbita, pokrwawiona, zwezzone z bólu oczy za rozbitymi okularami. Nie jeknal nawet, gdy tamten go katowal. Usiadl cicho obok Heli i mamy. Chcial wody, ale mama miala w koszyku butelke oleju...

Jak rozwieszczone, zadne krwi bestie wpadli nad ranem do budynku. Zganiali biciem i strzelanina do wagonów. Przepychalam sie wśród tratujacych sie na schodach ludzi. Trzymalam sie kurczowo matki, by sie nie zagubic. Krótka przestrzen od wyjścia z budynku po trupach zabitych, az do pociagu trwala cale zycie i juz nie okresle, z którego kregu nastepujacych po sobie epok.

Znalezlismy sie w wagonie. Zaden cud nie zdolal tego powstrzymac. Niemcy nie stali sie mniej potezni i okrutni po swych kleskach na Wschodzie. Ziemia ani niebo nie rozwarly sie nad masowym mordem narodu, w rozpacz, współczuciu, czy lasce. Ale kto by o tym teraz myslal?! Nie bylo, gdzie nogi postawic, schronic sie przed napierajacym tłumem i uniknac rozdeptania. Esesmani walili kolbami ludzi stloczonych u drzwi wagonu, az ci padali na innych, wlepiali sie jedni w drugich, w ten sposób robiac miejsce dla nastepnych. Zatrzasneli i zaplombowali drzwi dopiero wtedy, gdy juz nawet szpilka nie moglaby sie zmiescic.

Pociag ruszyl. Waskie okienka wagonu zatkali soba najsilniejsi i nie dopuszczali powietrza do wnetrza. Ludzie bili sie o kazdy centymetr miejsca, klócili sie, tratowali i dusili jedni drugich swym ciezarem. Wrzucane czasem przez Polaków po drodze butelki wody wyrrywano sobie z rak, z ust – dostawaly sie najsilniejszym. Esesmani strzelali do wyskakujacych przez okienka, do wnetrz wagonów. Stalam na tym stosie wtulona w matke. Patrzylam z rozpacza na te nieszczesna butelke oleju w jej koszyczku – plyn, ale nie do picia!!! Wiedzialam juz o Treblince, ale mama zapewniala, ze jedziemy do pracy. Bylam wdzieczna za wszelkie klamstwo, byle nie uslyszec nazwy tej strasznej stacji.

A potem stalo mi sie juz wszystko jedno, bo nie moglam juz wiecej wytrzymac. Upadlam. Inni zwalali sie na mnie. Zalegla mnie ciemnosc, nie czulam wiecej nic. Wtem ktos upadl mi na twarz, na nos. Nie moglam oddychac! Zaczelam sie szamotac z nadludzka sila, az wyrwalam sie spod tego duszacego stosu i z wlasnych, zasznurowanych butów, raniac do krwi potratowane nogi. Zrzucilam z siebie niemal cala odziez i na tej górze konajacych i umarłych oraz mojej odziezy, dosieglam okna. Wychylilam głowe, lufa karabinu esesmana stojacego na schodku wagonu dotykala mi grdyki. Mialam powietrze, chlonelam je cala soba!

Pociag stanal na jakiejś stacji. Byla noc, padal deszcz. Wrzaski, bicie: *Rauss!* Ruszamy w wielkiej kolumnie ludzi, brodzac w blocie. Chcialo mi sie lizac to bloto jezykiem z pragnienia. Mialam na sobie jedynie meski plaszcz, który znalazlam po ciemku w wagonie. Ale bylam z mama, bratem, bratowa i kuzynka, nie pogubilismy sie! Okazalo sie, ze jestesmy w Lublinie. Calowalismy sie z radosci, ze to nie Treblinka...

Brnelam w blocie bosa, opierajac sie na Chilku. Niemcy strzelali do tych, którzy nie byli w stanie isc. Mama zdjela z zabitej kobiety pantofle na wysokich obcasach. Mialam przeciez wygladac na 17 lat!... Chilek oderwal jeden obcas, bo nie moglam chodzic, drugiego juz nie zdazyl. Akurat dotarlismy do miejsca, gdzie biciem oddzielali mezczyzn od kobiet. Mówiono tez, ze zabiora starych i dzieci. Powiedzialam do mamy, zeby nie szla za mna, jesli mnie wezma. Mama spojrzala mi w oczy i spytala, czy wierze naprawde, ze moglaby mnie zostawic?!

Chilek przytulil nas do siebie, zanim esesman uderzył go pejczem i oderwał od nas na zawsze. W ostatniej chwili ostrzegł mnie, zeby nie opierała sie o matke, bo to ja zawali. Później w szpitalu w Auschwitz dowiedziałam sie, ze Chilka zagazowali w Auschwitz. Nie mam nawet jego zdjecia...

Dal zimny wiatr. Mama okrywała mnie swym plaszczem w tłumie kobiet na placu. Mówila, ze niedlugo pójdziemy do lazni, dostaniemy inna odziez, a potem ogrzejemy sie i posilimy w baraku w obozie.

Sluchalam jej z niecierpliwoscia. Gwóźdz w piecie po odlamanym obcasie i wysoki obcas w tym drugim pantoflu, dobijaly mnie. Jeszcze nie wiedzialam, ze te pantofle uratuja mnie podczas selekcji na Majdanku. Aufzejerka wyganiajac wiezniarki z baraku na apel, odsylala kobiety o chorych, zranionych nogach na ciezarówke do gazu. Zatrzymala mnie karabinem przy drzwiach, ale zauwazyła, ze mam jeden pantofel bez obcasa i pewnie dlatego kuleje. Zaropialej od gwozdzia piety ani bólu w potratowanych w wagonie nogach nie widziala, na szczescie. Przepuscila mnie!...

Na placu wciaz wyciagali grupy kobiet i odprowadzali je dokads. Przyszla kolej na nas. Opieralam sie o kuzynke, pomna ostrzezenia Chilka. Mama z bratowa szly za mna. Ból w nogach otepial mnie na wszystko, myslalam jedynie, jak postawic nastepny krok. Nagle znalazlam sie w wielkim baraku pelnym odziezy, gdzie i nam rozkazano rzucic swoja, z wyjatkiem butów. Wreszcie laznia! Dziesiatki nagich kobiet pod natryskami, takze Halina, Hela. Mama miala racje, nie zabija nas, bedziemy zyc, pracowac!

Chcialam ja objac, przytulic... Szukalam jej oczyma wsród nagich kobiet coraz bardziej zdenerwowana. Nie odrywalam oczu od drzwi. Na pewno wejdzie za chwile, musi przyjsc!!! Czulam jeszcze cieplo jej ciala pod paltem, którym mnie otulala przed chwila na placu. Nie weszla. Balam sie zapytac bratowa, nie chcialam uslyszec odpowiedzi. Zawislam w przepastnej pustce bez wyjścia, bez sensu. "Nie ma mamy", mówil mi niezrozumialy glos Heli, "ja teraz jestem twoja mama"... Nie pojmovalam sensu jej słów. Chodzila w kólko i powtarzalam w otepieniu: "Nie ma mamy, nie ma mamy". Nie miescilo mi sie to w glowie.

Ordynarnymi wyzwiskami biciem po nagich, mokrych cialach zagnali nas do jakiegos zimnego pomieszczenia. Rzucali nam odziez – za duza, za mala, jak w cyrku. Mnie dostala sie elegancka, czarna suknia balowa z koronkami. Hela wciagnela ja na mnie i przewiazala w pasie, by ja skrócic i umozliwic mi chodzenie. Blagala mnie przy tym: "Halina, nie patrz na mnie, ja sie boje twoich oczu!" Jakie ja mialam wtedy oczy, które tak przerazaly? Kim bylam?



Hela Herszberg Grynsztejn, Bydgoszcz

Hela walczyła dla mnie i dla siebie o miejsce na podlodze w zatloczonym baraku, o miske na zupe, bo tych bylo o wiele mniej niz oszalalych z glodu i pragnienia kobiet; pchala sie do kotla po

wodzianke z pokrzywy, po pajdke chleba. Nie rostawaliśmy się ani na chwile. Ale wkrótce Heła zaczęła szybko chudnąć, słabnąć. Zanikała w oczach i wtedy ja zerwałam się do walki, żeby jej nie stracić. Nieraz oddawałam jej swoją zupę, jeśli udało mi się zdobyć tylko jedną i przysięgałam, że nie mogę tego przelknąć, żeby zechciała tę zupę wziąć. Zakrywałam Hele swoim ciałem od zimna, od goniących nas do dzwigania kamieni kapo. Tuliliśmy się do siebie w krótkich godzinach odpoczynku na podłodze baraku, czerpiąc jedną od drugiej otuchę. Dzieliłyśmy się każdym okruszkiem chleba, lykiem zupy – każda uwaga i myśl, przekazywana wzrokiem, gdy brakowało nam siły, by wydobyć z siebie głos.

Minelo kilka miesięcy o głodzie, chorobach, biciu i katorzniczej pracy. Ciągłe selekcje, niemożność umycia się, zmiany odzieży. Łaznia, do której gnali nas nieraz z apelu pod eskortą, mogła okazać się komora gazowa. Nigdy nie było się pewnym – dokąd?

W lipcu 1943 roku zaczęli wybierać transporty najzdrowszych, najsilniejszych dziewcząt na wysłanie do obozu pracy – tutaj był koncentracyjny obóz zagłady. Do pierwszego transportu nie nadawali się, do drugiego mnie wybrali, ale uciekłam, bo Heła nie przeszła, była już za chuda. Do trzeciego wybrano nas obie. Zanotowali wszystkie dane o nas, rozdzielili zupę i zamknęli nas na klucz w baraku. Przytulone do siebie na podłodze, jak zwykle, marzyliśmy wśród nocy o tym lepszym obozie.

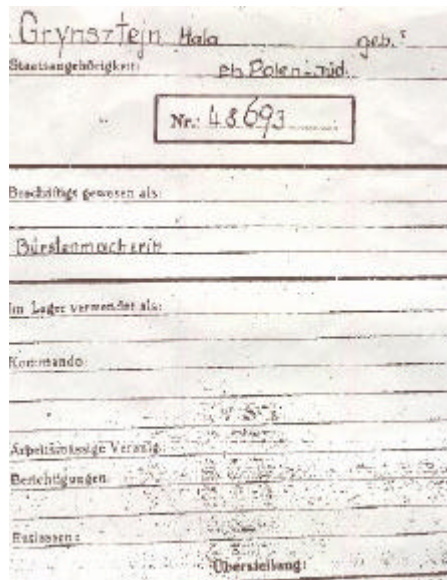
Nagle Niemcy wpadli do baraku i bijąc kolbami karabinów, wrzeszcząc i szczując psy, wygnali nas na dwór. Ustawili w kolumnie, przeliczyli kilkakrotnie, aż się w głowie mieszało od tego liczenia i zaprowadzili... do komory gazowej. Cały nasz transport. Niby łaznia, natryski. Czekałyśmy rozebrane do naga w ciągu bezkresnych godzin.

Trzymałam Hele za rękę, patrzyłam na natryski, z których miał przyjść gaz: jak to będzie umierać, co to jest śmierć? A może oni znikną nagle, wojna się nagle skończy? Rano okazało się, że akurat tej nocy zabrakło gazu!... Przeżyliśmy naszą własną śmierć. Esesmani znów przeliczyli nas, funkcyjni więźniowie rozdzielili porcje chleba, które natychmiast polknęłyśmy.

Pognali nas do pociągu. Znów wagony bydłce, tym razem przy otwartych drzwiach, w których wygodnie usadowili się dwaj żołnierze Wehrmachtu. Rozkazali nam usiąść w rzędach, jedna między rozkraczonymi nogami drugiej, by wykorzystać każdy centymetr miejsca i pod groźbą zastrzelania zabronili nam zmieniać te pozycje. Nareszcie mogłyśmy siedzieć, ale kto by się spodziewał, że będzie to trwało niezmiennie przez dwie doby?

Lipcowy upał, pragnienie, głód. I szpilki w całym ciele zdrewniałym od niemożności poruszenia się. Nowo poznana meka – siedzenie. Kobieta z pobliskiego rzędu, obejmująca nogami kilkunastoletnią córkę uniosła się nieco i zaczęła błagać o pozwolenie wyprostowania się na chwile. Żołnierz, starszy już wiekiem, wstał, zdjął karabin i wycelował. Zamarłyśmy. Pomyślałam, że tylko grozi, gdy kula trafiła w jej skron. Stawała się bledsza i bledsza, upadła martwa na ramiona córki. Żołnierz zawiesił karabin z powrotem na ramieniu, usiadł na miejsce i warknął, żeby wyrzucić trupą, a ta mała niech zamilknie (plakała bowiem cichutko), ona też niedługo zdechnie, jest przecież Żydówka!

Pociąg wtoczył się na stację: Auschwitz. W kolumnie, brutalnie popychane i bite przez strażników pomaszzerowałyśmy ze stacji do Birkenau. Ukazała się brama i duży napis: "Arbeit macht frei" – F K L (Frauenkonzentrationslager).



Halina, więziarka nr. 48693 Auschwitz -Birkenau

Rzedy murowanych baraków, druty kolczaste naladowane pradem elektrycznym, wieze wartownicze z wyzierającymi lufami karabinów maszynowych, jak na Majdanku. Z okien baraków i wokół nich jakieś postacie, niepodobne ani do mężczyzn, ani do kobiet, do starych czy dzieci... Zgolone włosy, przedziwna odzież bez koloru, olbrzymie, zablocone drewniaki na nogach, bezbarwne twarze. Nieskonczoność zła. "Stad już nigdy nie wyjde", pomyślałam coraz bardziej zalamana. Ale nie było czasu na rozmyślanie, trzeba szybko działać według praw nowego piekła; nie zgubić Heli w tym zdziwczalym, oszłomionym tłumie kobiet, zorientować się, która aufzejerka jest mniej okrutna, jaki zawód podać, potrzebny w obozie, dający szansę na życie – gdzie wreszcie zdobyć lyk wody!

Wieczór zastał nas już upodobnionych do zameczanych tutaj więziarek. Miałyśmy zgolone głowy, wytatuowane na lewym przedramieniu numery, tak samo dziwaczna, marna odzież z długim krzyżem, namalowaną czerwoną farbą olejną; ciężkie drewniaki, których nie można było wyrwać z błota. Stałyśmy już na codziennym, kilkugodzinnym apelu, w cuchnacym bagnie przed obozowym blokiem, wśród bicia i wyzwisk.

Wkrótce po tym, jak przybyliśmy do Birkenau, Hela i ja byśmy zabierane co niedzielę do pracy przy układaniu torów kolejowych do Birkenau. Nazywałyśmy to naszym "oswiecimskim wychodnym". W początkowym okresie, Niemcy nocami wywozili ludzi z Birkenau do krematoriów w Auschwitz w zamkniętych ciężarówkach i gazowali ich po drodze w tzw. "Białym domku". Na naszych nocnych zmianach w szwalni w Birkenau, która znajdowała się w pobliżu rampy, widziałyśmy takie ciężarówki, zwykle poprzedzane przez "komandker" z czerwonym krzyżem, jak sanitarka! Słyszałyśmy głosne lamenty i modlitwy ludzi *Szema Israel*.

Głód, nikle porcje wodnistej zupy z brukwi i chleba raz dziennie, ciągle bicie, wyzwiska, brud, wszy, wszelkiego rodzaju choroby, za które zabierali do gazu. Nie można myć się, zmiany zgnilej od deszczu i oblepionej ekskrementami odzieży. Wrogość na narach, w klozetach, przy kotłach z zupą, praca nad siły ludzkie. A ponad wszystko cuchnący zapach palonego ciała ludzkiego. Oddychałam nim dniami i nocami w ciągu niemal dwóch lat. Natykałam się na prowadzonych do gazu po drodze do mojej "dobrej" pracy w komandzie "Kanada", zasobnej w żywność i odzież po zamordowanych. Na rampie było wciąż moc ludzi zwozonych z całej Europy do komór gazowych, które pracowały dniem i nocą. Nie można było przejść: masy ludzkie gnane do gazu – a my w przeciwnym kierunku do "Kanady" sortować rzeczy po nich na wysłanie do Niemiec.

Pewnego razu nasze komando zatrzymało się obok małżeństwa z małżeństwem na rekach. Zapytali nas, jak daleko do kolonii żydowskiej, bo trzeba nakarmić dziecko. Milczaliśmy. Mieli jeszcze kilka metrów do ostatniej w ich życiu kolonii – w niebie, jako dym z komina. W "Kanadzie" stałam na górach odzieży wymieszanej z fotografiami, listami, paczkami żywności i nie mogłam już w ogóle mówić! Słowa straciły wszelki sens! Wydawało mi się, że zagnali tutaj i rozebrali do naga wszystkich ludzi – i nie ma już świata, a nas po uporządkowaniu bagazy, też wrzucą w ten ogień. "Kanada" czyli Keine da, nie ma już nikogo!

Podawałam zawsze, że mam 17 lat, jak mama nauczyła mnie w getcie. A w obozie utworzono specjalny blok dla dzieci. Dawali tam biały chleb, mleko, masło i nie brali do pracy. Zgłaszały się do tego bloku też i kobiety, które ze swymi zgonnymi głowami i w nieprawdopodobnym odzieniu wyglądały, jak dzieci. Znęcały je dobre warunki dziecięcego rajku. Drwili, że ja nie chcę tam pójść, by nie rozłączyć się z Hela. "Mogłabys i jej pomóc", wymawiali mi... Po kilku tygodniach wszystkich z tego "dziecięcego" bloku załadowali na ciężarówki i odwieźli do gazu.

Hela przemieniła się w żywy szkielet. Zapadłe policzki, wielkie, zagłodzone oczy, piszczele rąk, nóg. Unikalam jej wzroku, gdy błagała mnie, żebym poprosiła sztabową o dodatkową porcję zupy. Nie potrafiłam wyciągnąć ręki, narazić się zebraniem na bicie i obelgi. Łatwiej mi było oddać jej swoją zupę. Tłumaczyłam jej i sobie, że jeśli wydostaniemy się stąd, będziemy miały dość jedzenia, a jeśli nie, to i tak dodatkowa zupa nie nasyci wiecznego tu głodu. Hela nie miała siły wysłuchiwać moich "wymadrzań".

Wszystko to jednak stawało się nieważne na dźwięk gwizdka i paralizujących rozkazów: "Wszystkie Żydówki na apel!", albo "Żydówki nie rozchodzić się po ogólnym apelu!" Zapominało się wtedy o skrecającym kiszki głodzie, zimnie, kłeczeniu godzinami w błocie na deszczu, czy mrozie – nieraz bez butów, bo zostały skradzione lub rozkazali je zdjąć za karę za wymyślone przestępstwa. W takich chwilach znaczyło już tylko oczekiwanie na wyrok – skinienie ręki niemieckich władców: w lewo, na śmierć – w prawo, na życie i dalsze meki w obozie.

Szłam za Hela na placu przed łaznią. Był jasny dzień jesienny. Ustawili nas rzędem rozebrane do naga. Chore, chude, słabe czy po prostu takie, które im nie przypadły do gustu odstawiali na lewo. Ja jeszcze wyglądałam nie najgorzej. Drżałam o bratową, ona nie miała już szansy. Wciąż przysuwałam się do Heli, chcąc ją osłonić swym ciałem w miarę, jak zbliżaliśmy się do sortujących esemanów. Z trudem oddychałam z napięcia. Mengele uniósł rękę i wyznaczył Hele na lewo! Schwyciłam ją ze wszystkich sił i mocno przytulilam do siebie. "Oni są tylko ludźmi – wierciło mi w głowie – nie jakaś siła wyższa, mogą powiedzieć, tak, i Hela zostanie. To jest jednak w mocy ludzkiej!"

Kapo szarpały się ze mną, chcąc mi wyrwać Hele. "Kim ona jest dla ciebie?" – zagrzmiąło zimne pytanie Unterscharführera Taube. "To moja matka, siostra, bratowa, nie mogę żyć bez niej", mówiłam gorączkowo, jak do człowieka. Władca życia i śmierci zawyrokował więc, żebym poszła z bratową. Blokowa zapisała posłusznie mój i Heli numer na liście do gazu. Ale ja w żaden sposób nie dawałam się wypchnąć z miejsca, w które się wparłam, nie wypuszczając ze swych objęć Heli. Nie umrę teraz w tej jasności dnia, mówiłam sobie, i nie wrócę bez niej! Czulałam całą siłę swego życia.

Zastępca komendanta obozu, stojący naprzeciw nas w grupie wysokich oficerów przypatrujących się selekcji, jak przedstawieniu teatralnemu, przywołał mnie skinieniem palca. "Milcz! – przerwał moje błaganie – jak nie, to pójdziesz tam – wskazał na ogień z komina krematorium – a jeśli zamilknie, zwolnie cie wraz z twoją Schweigerien. Oficerowie zaśmiali się diabelsko, przedrzeźniając moje niedowierzające: "Jaaa??". Hössler rozkazał blokowej skreślić nasze numery z listy wyznaczonych na śmierć.

Siarczysty policzek powalił mnie na ziemi, gdy rzuciłam się Hösslerowi na szyję w porywie wdzięczności. Urodziłam się na nowo wraz z Hela, chociaż ona już na krótko. Powiedziała mi po selekcji, wskazując na swe ręce i nogi – gołe kości, że ona już nie żyje, oddycha jeszcze tylko moim oddechem... Wmawiałam jej, że wojna niedługo już się skończy i ona wyzdrowieje, stanie się z powrotem, jak dawniej.

Hela jednak wiedziała lepiej ode mnie, że nie da się cofnąć losu.

Jeszcze się wlokła za mną ostatnimi siłami na apel, do pracy w szwalni. Staralam się, jak mogłam walczyć z jej licznymi chorobami, ulżyć jej. Szmuglowałam do latryny garnuszki, do których musiała się załatwiać, nie będąc w stanie dotrzeć do drzwi baraku i tam tłoczyć się w tłumie kobiet chorych na dżynterie. Z setek chorych wypuszczano po 10 – 15 osób pod eskortą do odległych, zawsze przepelnionych ustępów! Załatwianie się do naczyń na jedzenie było karane niemal śmiercią. Jednak nie przyłapano mnie. Ignorowałam groźbę kar, myślałam wyłącznie o szybkim opróżnieniu wciąż potrzebnego Heli garnuszka. Pozerła ją gorączka, szkorbut i ta nieustanna biegunka z krwią. Sasiadki z pryczy namawiały mnie, żebym ją zostawiła – ona ma gruźlicę i ja się zarazię. Nie miały pojęcia, kim dla mnie była Hela, zdrowa czy chora!



Auschwitz-Birkenau, latryna

Nie mogła już zejść z nary, nie docierał do jej świadomości sens gwizdka na apel. Sztubowe wyniosły ją na noszach i położyły w błoście obok mnie. Po raz pierwszy stałam sama na apelu. Hela wpatrywała się we mnie, jakby żegnała się ze mną, jakby błagała o pamięć albo przepraszała, że mnie musi zostawić. Jej spojrzenie z tych chwil pozostało we mnie na całe życie. Odprowadzono Hele w grupie chorych na rewir. Blokowa przyrzekła mi, że mnie zabierze do niej, gdy będzie prowadzić inne chore do szpitala. Po tej selekcji odnosiła się do nas trochę lepiej. Odtąd nie zjadłam swych porcji chleba, odrywałam je wprost od ust, by zanieść je Heli z nadzieją, że ona się wzmocni i wróci do mnie.

Leżała na górnej pryczy, jak duch. Jej twarz rozjaśniła się na mój widok, nie odrywała ode mnie wzroku, jakby chciała wchłonąć w siebie moją postać: "Halinka, przyszłaś do mnie, przyszłaś!" Na chleb nawet nie spojrzała. Nie był jej już potrzebny. Niemal zaraz wyrzucili mnie stamtąd biciem. Po kilku dniach odwagałam się zapytać blokową, co jest z Hela. Odwarknęła przez zęby, że już jej nie ma. Musiałam wiedzieć, czy wzięli ją do gazu, albo czy umarła tam na pryczy. Było to dla mnie niezmiernie ważne. Blokowa na chwilę przestała przeklinać i bić. Ludzkim głosem odpowiedziała mi, że Hela umarła na pryczy. Czyli naturalna śmierć... Miała 20 lat.

Nie byłam potrzebna już nikomu, ani samej sobie. Skul mnie pancierz zubożenia.

Samotność, obcość i wrogość wokół, bo nawet powietrza do oddychania nie było dość, o wszystko trzeba było się szarpać, bić. Pociągi z ludźmi nieustannie zwozonymi na śmierć na przeciw mojego bloku na rampie, ogień z komina krematorium, cuchnący zapach palonego mięsa ludzkiego; błoto, choroby, rany ropne na całym moim ciele, swierzb, wszy, tyfus, selekcje.

Przechodziłam je. Nie stawałam się szkieletem. Ocierałam się ciągle o śmierć, ale ta omijała mnie. Wracałam do zdrowia bez lekarstw, nie zaziębiałam się naga i bosa na dworze w deszcz, mróz, na przekór prawom natury... Udawało mi się ukryć choroby i niedozwolony wiek, za które groził mi wyrok śmierci. Nie wiedziałam już kim jestem, do kogo przynależę. Ci, z którymi mnie tu przywlekli warszawskim transportem z getta i Majdanka dawno ulecieli dymem z krematorium. Zmieniały się raz po raz współpoliczki do nar. Przybywały z innych transportów i różnych krajów. I te również padały, jak muchy.



Górna nara, miejsce do spania dla 16 więźniarek, Blok 27 Auschwitz Birkenau

Dwukrotnie doświadczyłam Christmas w Birkenau, gdy na jednym krancu obozu świeciły się kolorowe lampki na choince, orkiestra grała przy wymarszu i wmaszerowaniu do obozu (jak codzien, zresztą) – a na drugim krancu słup ognia i dymu z komina z palonych ludzkich ciał. I grysiak na mleku dla więźniarek, zamiast zupy ze zdrewniałej brukwi czy kalarepy – świątecznie, jak przystało na władców, znających tradycje, gorliwie przestrzegających stary porządek – w hitlerowskim nowym.

Podczas selekcji "tyfusowej" kolor języka przesadzał o życiu. Mój nie zdradził mnie – stał się biały dopiero wieczorem po selekcji. Nie powaliła mnie też wysoka gorączka w ciągu dwóch tygodni przy pracy bez jedzenia, ani ciężkie pobicie przez Nachtwache. Przy następnej selekcji mój język miał już odpowiedni kolor... Sortujący esesman kazał mi tylko obrócić się, by sprawdzić czy utrzymam równowagę, a gdy zrobiłam to z przesadną szybkością zapytał o mój wiek. Słyszac mój rozpaczliwy okrzyk: "siebzehn" (siedemnaście)! i z ironią stwierdził, że mam pysk na czterdzieści. Czterdzieści lat to w Auschwitz zbyt stary – trzynaście za młody – jednakowo niedozwolone do życia...

Epidemia tyfusu i bez selekcji dziesiątkowała obóz. Kobiety padały nieprzytomne na apelach, przy pracy, na rewirze. Bloki pustoszały masowo. Przy ostatniej selekcji zapisywali tylko jakieś znaki na liście, nikogo nie odprowadzili do gazu i wszystko poszło w zapomnienie wśród innych koszmarów obozowych. Po dwóch tygodniach, po porannym apelu zapędzili nas z powrotem do bloku. Cieszyliśmy się, że nie musimy iść do pracy i ogrzejemy się na narze... Była nas już tylko trójka po epidemii tyfusu. Okryłam się kocem z Fruma i ona zaczęła mi opowiadać o swojej matce, domu, matczynych potrawach. Nagle w bloku powstał zamęt. Zaczeli wywoływać jakieś numery,

krzyzec. Nie zwracaliśmy uwagi pograżone w dobrych wspomieniach. Powtórzony z wściekłością numer uderzył, jak piorun z nieba: Fruma!...

Urwala w pół zdania i zeskoczyła z nary. Ciepło jej ciała zostało pod kocem, w uszach dźwięk jej głosu. Kobiety wyznaczone wtedy na śmierć musiały się rozebrać do naga przy drzwiach baraku i owinięte w szorstkie, ciemne koce, zostały zapędzone do gazu. Fruma miała 16 lat, przetrwała tyfus na ciężkim "Aussenkomando", ale jej język nie spodobał się niemieckim specjalistom.

Sabine, której matkę niemiecki żołnierz zastrzelił w wagonie w drodze do Auschwitz, zagnali do gazu jeszcze wcześniej. Wlokła się na apele i do pracy z płonącymi od gorączki oczami, *bojtem* pełnym nie zjadanych porcji chleba; popękanymi wargami błagała wciąż o łyk wody! łyk wody! Rano wstawalam mokra od gorączkujących kolezanek, leżaliśmy z początku po szesnastu na narze! Ale szybko się rozluźniało od epidemii i nieustannych selekcji.

Polska sztabowa, Stasia, dała mi uciec z innej selekcji na dworze podczas silnego mrozu, gdzie przechodziło się nago i boso przed trybunałem esesmańskim. Jeszcze kiedy Hela żyła, Stasia sama dolewała mi czasem trochę zupy, która rozdzielała. W Jom Kipur (nie wiem, skąd się o tym świecie dowiedziała, bo nie znaliśmy tam już niemal żadnych dat, nie rozróżniliśmy biegu ludzkiego czasu, który tam nie miał już więcej znaczenia) wyznaczyła na dyzury w bloku nie-Zydówki, a wieczorem po powrocie z pracy zapaliła świecę na górnej narze naprzeciw drzwi, poprosiła, żeby się nie rozchodzić i pomodlić się w ciszy, każda po swojemu, o doczekanie wyzwolenia. Było to niesamowitym, niezapomnianym przeżyciem!

Dzięki malej Polusi z Zagłębia uratowałam się od ciężkich kar w komandzie "Weberei", bo pomagała mi wykonywać normę lin plecionych ze szmat i zdobywać materiał, który kobiety wyrwały sobie z rak. Potem, dzięki Polusi i zaprzyjzajnionej z nią sztabowej dostałam się do "Kanady", gdzie wreszcie nie byłam głodna przez kilka tygodni. Przyjrzałam się tam z bliska niemieckiemu procederowi masowego mordów i rabunku.

Kapo Alwira z Kartofelkomanda przydzieliła mnie do lepszej pracy w kisiarni kapusty, gdzie było centralne ogrzewanie i dość kapusty lub brukwi do jedzenia... Nie wytrzymałabym przy dzwiganiu traga z kartoflami do rowów w rozkopanej, błotnistej ziemi. Potem Alwira uratowała mnie w marszu śmierci, w chwili, gdy już padałam i o mało nie zastrzelili mnie na drodze. Wlokła mnie na siebie, wzięła, szczerzyła, ledwie dysząc sama. Ojciec Alwiry był Żydem, matka Niemką.

Prajsowa i jej starsza ode mnie o rok córka Różka, przygarnęły mnie do siebie po utracie Heli. Usługiwały blokowej, Żydówce słowackiej i dzięki temu miały więcej zupy, więcej miejsca na narze, dostęp do przydzielanych w małych ilościach butów – nie musiały stać długo na apelach, wychodzić na selekcje. Poznałam je, gdy przyszłam do ich bloku ze swą porcją chleba, by wymienić ją u Ukrainek na masło dziegielowe, leczące świerzb. One przynosiły to masło z pracy. Chciałam też zobaczyć się z kuzynką, która była również na tym bloku. Okazało się jednak, że już ją wzięli w selekcji do gazu, choć jeszcze dobrze wyglądała. Blokowa, czeska Żydówka, podsunęła Halinę: "a ta, Herr Unterscharführer?" Nie odmówił.



Miriam Prajs (Prajsowa), Staszów

Jesienia 1944 roku ustaly transporty do gazu. Nie bylo juz prawie Zydów w Europie. Zostaly po nich rozsypane popioły i rzeczy skrupulatnie posortowane i wywiezione do Niemiec. Ja tez pracowalam przy tym sortowaniu i wysylce.

Zblizalo sie wojsko rosyjskie. Niemcy zburzyli komory gazowe i krematoria w akcji zacierania sladów swych zbrodni; wywozili transporty wiezniów do innych obozów, przewaznie w glab Niemiec. Nadchodzil upragniony koniec królestwa Auschwitz, i jesli Niemcy nie zabija nas swoim zwyczajem przed opuszczeniem obozu, bedziemy wkrótce wolni! Mialam juz 15 lat. Za szmuglowane kartofle i kapuste Prajsowa zdobyła mi ciepla odziez, skórzane buty i codziennie dodatkowa porcje chleba.

1 stycznia 1945, Nowy Rok. Tego dnia nie wzeli nas do pracy. Slonce i snieg... Postanowilam podejsc do drutów, co bylo dozwolone, by podzielic sie z Celina, szkolna kolezanka Marka, poprawa w mojej sytuacji. Rózka poszła ze mna, mimo ostrzezen matki, których nie bralysmy pod uwage, bo wiele kobiet komunikowalo sie w tym miejscu. Celina byla takze w laskach u tej blokowej, jako pielegniarka i pomagala mi troche. Poprzednio Celina dzielila we trójke nare z Prajsowa i Rózka. Potem przeniesiono ja na inny odcinek lagru, graniczacy z naszym.

Zaczelam wolac: "Celina!" Wtem strzal i jednocześnie gorac i straszliwy ból w dloni. Wartownik z wiezy wycelowal do mnie. Popedzilam na oslep za Rózka. Ból w dloni rozsadzal, najchetniej oderwalabym reke od siebie. Bylo mi ciemno w oczach, padalam, zrywalam sie, w glowie huczalo: teraz mnie zabil?! Na krok od wyzwolenia, po ponad pieciu latach cierpien?! Nie dam zyciu uciec! Nie umre! Zaciskalam zeby i piesci. Dowlokłam sie za Rózka na rewir. Okazalo sie, ze kula przeszyla mi górne podramie, przeszła blisko serca, utkwila obok kregoslupa i pluca. Obezwladnila mi lewa reke.

Nie bylo teraz komór gazowych, ale byl lekarz esesmanski, który dobijal ciezko chorych na pryczach. Patrzylam z przerazeniem na drzwi baraku... Przyjdzie i wykonczy mnie.

Okazalo sie, ze zaciekawil go mój wypadek. Kazal mnie wyprowadzic na srodek baraku pod swiatlo, obejrzal moje rany i rozkazal odprowadzic mnie natychmiast do szpitala na meski lager, by mi usuneli kule i zlaczyli nerw. Nie nadazalam myslami za biegiem wypadków, nie wierzylam w to, co dzialo sie ze mna.

W malym baraku szpitalnym na trzypietrowych pryczach lezaly nieliczne kobiety po operacjach. Nie byly to Zydówki; wiezniarek zydowskich nie leczono, robiono na nich jedynie eksperymenty "naukowe". Przyjal mnie mlody sanitariusz. Okazal zainteresowanie i zyczliwosc, co mi dodalo otuchy, bo bylam przerazona do najwyzszego stopnia. Pytal o szczegóły mojego wypadku, o

pochodzenie, skąd i jak długo jestem w obozie. Były to charakterystyczne pytania – ludzie wciąż doszukiwali się wiadomości o oderwanych bliskich, może gdzieś żyją, może ktoś ich widział?...

Nie wiedziałam, co tu ze mną zrobią i bałam się wszystkiego i wszystkich. Życzliwa obecność sanitariusza o imieniu Abram, polskiego Żyda, działała na mnie uspokajająco. Czekaly mnie aż dwie operacje: usunięcie kuli i złączenie nerwu radialis. W Auschwitzu?! Przechodziły mnie ciarki na samą myśl o tym! Utraciłam dużo krwi, ciągle gorączkowałam.

Dwaj lekarze więźniowie kluli mi rękę aż po ramię – niczego nie czułam. Nie mogłam zgnać dłoni, ani poruszyć palcami... Kaleka od piętnastego roku życia! "Byłby mnie już lepiej zabił", mówiłam nieraz. Abram oponował, uczył mnie swego adresu w Krosniewicach, zapewniał, że wojna wkrótce się skończy i my zostaniemy razem.

Usuneli mi kule z pleców bez znieczulenia, nerwu nie można było operować, bo ręka była cała pokryta pecherzykami z ropą. Okazało się to szczęściem: w pierwszych dniach po wyzwoleniu, gdy zaczęłam normalnie się odżywiać, wróciła mi władza w ręce! Jednak musiałam jeszcze w ciągu miesiąca, aż do wyzwolenia ukrywać swe kalectwo przed esesmanami w Ravensbrück, majstrami i chłystkami z Hitlerjugend w fabryce samolotów w Neustadt-Glewe. Zdrowa ręka przykrecałam tam śrubki do części samolotów, chora podtrzymywałam je od dołu. Bezwładną rękę ukrywałam w dużym rękawie męskiego płaszcza, w który Abram ubrał mnie przed ewakuacją z Auschwitzu.

18 stycznia 1945 roku wyprowadzono nas wieczorem w wielkiej kolumnie z kobiecego łagru B2B. Na śniegu paliły się ogniska; Niemcy palili teraz dokumenty, już nie ludzi! Jaką kobietą rozpytywała się o Halinę z przetrzełoną ręką – miała dla mnie paczuszkę przetrzeconą przez druty. Od Abrama. Była to jego porcja chleba dzielonego więźniom na drogę. Ostatnie pozdrowienie! Po wyzwoleniu, Abram zachorował i zmarł; nie mógł trawić jedzenia po latach głodu.

Spotkałam Celinę na jakimś odcinku tego beznadziejnego marszu, którym nas wlekli po oblodzonych drogach dniami i nocami, aż do pociągu w Loeslau (dzis Wodzisławice). Podczas tego marszu śmierci jadłam i piłam śnieg. W pewnej chwili, gdy już padałam z wycieńczenia, schylając się po garść śniegu, usłyszałam niemieckie: "was ist mit dir?" (co z tobą?) i znalazłam się w objęciach Alwiry. Niemcy zabijali odstających od kolumny. Cała droga usiana była trupami.

Zaladowali nas w nieopisanym ciasnocie do towarowych wagonów bez dachów. Mróz i wiatr w pedzie pociągu ciał skórze jak nożem. Dojechalysmy ledwie żywe do Ravensbrück. Po godzinach wystawiania na dworze na zimnie, zamkneli nas w bloku karnym z przestępczyniami niemieckimi.

Ciasnota na podłodze małego pomieszczenia, nie codziennie trochę zupy albo kawałek chleba. Niemki znęcały się nad nami. Czasem wykradałam się z baraku i myłam się topniejącym śniegiem pod rynną. Po kilkunastu dniach odliczyli nas i znów odprowadzili pod eskortą do pociągu. Pociąg osobowy tym razem, ogrzewany nawet!... Ale wszyszy też ożywiły się od ciepła i dokuczały nam jeszcze mocniej.

Siedziałam przy oknie i przyglądałam się mijającym krajobrazom niemieckich miast i wiosek. Stał do nas przyszedli i wszystkich nam zabili, spalili nam wszystko, zabrali?! W tych pięknych domkach mieszkają ich żony, matki, dzieci! Czy one wiedzą o tym? Jeżeli przeżyje, pomyślałam, chciałabym do nich przyjechać i opowiedzieć... W roku 1989 miałam przyjechać jako wolny człowiek do Berlina ze swoją książką *Nadzieja umiera ostatnia* [2], i z filmem *Z powodu tej wojny*.

Ale tymczasem zaczął się luty 1945 roku i czekały mnie dalsze miesiące na podłodze baraku w obozie Neustadt-Glewe. Przez dziesięć pierwszych dni nie dawali nam zupełnie jedzenia, potem dali chochle zupy i jeden bochenek chleba na dziesięć oszalałych z głodu kobiet. Mierzyło się te porcje sznurkiem. Nieraz chleb był w środku zielony od pleśni.

3 maja 1945 roku Niemcy ubrani w cywilna odzież załadowali się na ciężarówkę, wystrzelili salwę z karabinów w tłum kobiet napierających na magazyn z żywnością – i odjechali. Brama obozu była otwarta! Nie potrafiłam się cieszyć odzyskaną wolnością na ziemi niemieckiej z duszą uwięzioną w wiecznym Wczoraj. Jeszcze się nie urodziłam się do radości, byłam raczej wypalona staruszka.

Po kilku tygodniach wólczezi dotarliśmy z Celina do Warszawy. Idąc do komitetu żydowskiego spotkałam na ulicy brata! Okazało się, że Marek wyskoczył z okienka w biegu pociągu na Majdanek. Został postrzelony z dachu wagonu przez esesmanów. Dowłókl się do jakiejś wiejskiej chaty, gdzie Polacy opatrzyli mu rany w plecach i pozwolili przenoćować. Inż. Stanisław Strójwas pomógł mu uratować się w kryjówek w Warszawie. W styczniu 1945 Marek już był wolny w wyzwolonej Warszawie, ja wróciłam z obozów pod koniec maja.



Brat, Marek, po wyzwoleniu



1947

Po roku wyruszyłam z grupą młodzieży ocalałej z zagłady i osieroconej, jak ja, nielegalną drogą do Palestyny. Przekradaliśmy się przez granice kilku państw, półtora roku zostaliśmy w Niemczech w obozie UNRRA dla uchodźców, a potem przez kilka tygodni w południowej Francji.

W listopadzie 1947 odpłynęliśmy małym, starym statkiem rybackim o zagłach, bo motor popsul się nieomal od razu. Ukrywaliśmy się pod pokładem, by sprawujący wówczas władzę w Palestynie Anglicy, nie schwytali nas i nie odesłali na Cypr do obozu. Po dwóch tygodniach niebezpieczeństw i wszelkiego rodzaju niedostatków na morzu udało nam się 3 grudnia 1947 roku dobić do Tel Avivu, jako pierwszy statek

w uznanym przez ONZ państwie Izrael.

Przypisy:

1. **"Kociol na Milej"**: we wrześniu 1942, w Rosh Hashana (Nowy Rok żydowski), już po wysłaniu większości warszawskich Żydów do Treblinki, Niemcy ogłosili, że na tym skończyły się akcje; wszyscy pozostali w getcie mają natychmiast skupić się na Milej i kilku pobliskich ulicach: Niskiej, Ostrowskiej, Krochmalnej, gdzie przeprowadzona zostanie selekcja. Żydzi mający zaświadczenia pracy pozostaną w getcie i wysiedlenie się skończy. (Wcześniej wielu wyrzucono z pracy.) Gdy tłumy Żydów wypełniły te niedzne, ciasne ulice, ciężkie, brutalne warty niemieckie okrzykiły je, tworząc kociol bez wyjścia. Niemcy przeprowadzali selekcje i łowy na ukrywających się Żydów. Starych ludzi i dzieci wraz z rodzicami wyciągali z kolumny i doprowadzali na Umschlagplatz, a stamtąd do Treblinki. Nie ma słów, aby opisać tę straszliwą tragedię dni Kotła na Milej! Podczas tej selekcji Niemcy wywieźli do Treblinki około 100 000 Żydów. Po dwóch tygodniach zdjęli warty, a getto zostało zmniejszone do kilku ulic i zamienione w obóz pracy – szopów i placówek. W maju 1943, po zdławieniu powstania, warszawskie getto zostało ostatecznie zlikwidowane.

2. Moja książka po polsku p.t. *Nadzieja umiera ostatnia* i jej dwa wydania po angielsku (*Hope is the last to die*) zawierają moje obszerniejsze wspomnienia z lat Holocaustu Szoa:
- o Halina Birenbaum, *Nadzieja umiera ostatnia*. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oswiecim, 2001. 276 pp. ISBN 83-85047-99-9
 - o Halina Birenbaum, *Hope is the last to die*. Publishing House of the State Museum in Oswiecim, 1994. ISBN 83-85047-11-5
 - o Halina Birenbaum, *Hope is the last to die. A coming of Age under Nazi Terror. A classic of Holocaust expanded with a new postscript*. M.E. Sharpe Armonk, New York, London, 1996



Rodzina Birenbaumow, zgineli w Treblince: matka, Różia Okuniew, ojciec, Benjamin Birenbaum ur. w Lowiczu, brat Bolek Dov (z lewej) i Henryk, jedyny ocalali z Zagłady...



Halina i małżonek, Henryk Birenbaum, uratowany z Holocaustu, żołnierz Palmachu zraniony w wojnie o niepodległość Izraela w r. 1948 - na ulicy w Tel Avivie

